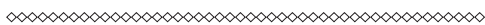


Abonent chwilowo nieosiągalny



ks. Adam
Boniecki MIC

WYDAWNICTWO WAM
TYGODNIK POWSZECHNY

Spis treści

- 9 Marek **Edelman**
- 15 Wistawa **Szyborska**
- 21 Stefan **Swieżawski**
- 27 Janusz **Szpotkański**
- 31 kard. Adam Stefan **Sapieha**
- 37 Stefan **Kisielewski**
- 43 Stanisław **Balewicz**
- 47 Bronisław **Mamoń**
- 51 Henryk Mikotaj **Górecki**
- 55 Krystyna **Chmielecka**
- 59 Zygmunt **Pawlus**
- 63 bp Roman **Andrzejewski**
- 69 Dominika **Roqueplo-Woźniakowska**
- 73 Ewa **Szumańska**
- 79 Bronisław **Geremek**
- 83 Jan **Błoński**
- 89 Gustaw **Herling-Grudziński**
- 93 Jacek **Kuroń**
- 99 Zofia **Morawska**
- 103 ks. Stanisław **Musiał**
- 107 Jan **Nowak-Jeziorański**
- 111 Ryszard **Kapuściński**
- 115 Henryk **Giedroyc**
- 119 Marek **Skwarnicki**
- 123 Anna **Świderkówna**

- 129 Jacek **Woźniakowski**
- 133 Krystyna **Konarska-Łosiowa**
- 139 ks. Jerzy **Popiełuszko**
- 145 Leszek **Kołąkowski**
- 151 bp Jan **Pietraszko**
- 157 Jerzy **Giedroyc**
- 163 abp Ignacy **Tokarczuk**
- 169 Barbara **Skarga**
- 175 Jan **Pawel II**
- 181 ks. Jan **Twardowski**
- 187 bp Jan **Olszański**
- 193 Anna **Turowiczowa**
- 199 Jerzy **Turowicz**
- 213 kard. Carlo Maria **Martini**
- 225 Tadeusz **Żychiewicz**
- 235 ks. Andrzej **Bardecki**
- 243 abp Józef **Życiński**
- 251 kard. Jean-Marie **Lustiger**
- 265 Czesław **Miłosz**
- 273 Brat **Roger**
- 283 ks. Bronisław **Bozowski**
- 295 Stanisław **Stomma**
- 303 ks. Józef **Tischner**
- 311 Vademecum **śmiertelnika**
- 317 Stąpając **po krawędziach**

W moim notesie jest ich coraz więcej, tych „umarłych” adresów i telefonów. Na kopercie listu ktoś nabazgrze: „adresat nie mieszka pod wskazanym adresem”, w telefonie nieznaną głós powie: „abonent jest chwilowo nieosiągalny”. Nie wykreślam ich. No bo jak, tak sobie kogoś skreślić? Może kiedyś, gdy do nowego notesu będę przepisywał stare adresy i numery telefonów, już ich tam nie wpiszę. Zostaną w starym, na dnie szuflady. To smutne, nawet dla wierzącego, że tylko „oczom głupich się zdało, że pomarli, (...) a oni żyją w pokoju”. Czasem czuję, a może mi się wydaje, że są blisko. Częściej mi ich po prostu brakuje. Ta książka jest jak zapomniany notes z dna szuflady. Wszyscy w niej to „umarłe adresy”, nieobecni... przynajmniej tu, na ziemi.

Ta książka nie jest taka, jaka mi się marzyła od czasu, kiedy krążąc samochodem po Rzymie i mijając znajome miejsca, opowiadałem Ani i Adamowi o niezwykłych ludziach, których tam spotykałem. Wtedy moi towarzysze zaczęli mnie przekonywać, że powinienem napisać o tych ludziach i w ogóle o ludziach, których poznałem. Upłynęło kilka lat, a ja, choć chciałem taką książkę napisać, nie zrobiłem tego, wciąż były sprawy pilniejsze, wciąż brakowało mi czasu. Czuję też, że z wiekiem dni, tygodnie, miesiące stają się jakby krótsze, a lat, które jeszcze mam przed sobą, ubywa. Kiedy więc powszechnie szanowane wydawnictwo jezuitów zaproponowało mi zebranie w jedną książkę rozsianych w różnych miejscach wspomnień o ludziach, propozycję przyjąłem z radością. To dar z nieba – pomyślałem – bo pewnie niczego lepszego nigdy nie napiszę.

Taka jest historia powstania tej książki. Przejrzałem pisane i publikowane przy różnych okazjach teksty drukowane, odszukałem notatki do kazań nad świeżymi grobami przyjaciół i sięgnąłem w głąb pamięci. Niektóre teksty trzeba było napisać od nowa, dlatego w tej książce nieco mieszają się style. O niejednym z tych, których tu wspominam, napisano wiele artykułów, czasem książki. Ale ja nie chciałem tworzyć zbioru mniej lub bardziej wyczerpujących biografii. Chciałem odnotować to, co dla mnie było i jest ważne. Przygotowywanie tych materiałów było dla mnie odnowieniem, łagodzonego przez czas, smutku rozstań, ale i odnowieniem wdzięczności za udzielony mi przez Opatrzność dar spotkania z nimi.

Martwi mnie i zawstydza niejednorodność formy tych wspomnień, jednak liczę na wyrozumiałość czytelnika i mam nadzieję, że traktując każdy rozdział jako zamkniętą całość, przeczyta to bez nadmiernego mozołu, a – daj Boże – i z radością.

Nieuchronnie nasuwa się pytanie o tych, których w tej książce nie ma. Ludzi godnych opisanego spotkałem w moim długim życiu znacznie więcej, niż jest w tej książce. Dlaczego ich tu nie ma? Cóż, o niektórych nie potrafiłem napisać, inni zbyt późno się wyłonili z głębi mojej pamięci... Tak, tak, niestety, zapomniałem. Proszę więc, nie pytajcie mnie, dlaczego tego, tej czy owego nie ma. Jeśli jeszcze wystarczy mi czasu i energii, kiedyś ten brak będę musiał uzupełnić.

ks. Adam Boniecki

Anna **Turowiczowa**

Anna Turowiczowa, z domu Gąsiorowska (ur. 7 czerwca 1916 w Goszycach – zm. 23 czerwca 2000 w Krakowie) – tłumaczka literatury pięknej.

Urodzona w patriotycznej rodzinie ziemiańskiej, była córką chrześną Józefa Piłsudskiego. Ukończyła historię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Działała w Stowarzyszeniu Katolickiej Młodzieży Akademickiej „Odrodzenie”, w którym poznała swego przyszłego męża, Jerzego Turowicza.

Zajmowała się tłumaczeniami z języka francuskiego i na język francuski (m.in. poezji Karola Wojtyły). Przełożyła na polski m.in. „Nie lękajcie się! Rozmowy z Janem Pawłem II” André Frossarda, „Wybór Boga. Z Kardynałem Jean-Marie Lustigerem rozmawiają Jean-Louis Missika i Dominique Wolton”, „Szeroki świat moją parafią. Wymiary i prawda zbawienia” Yves’a Congara oraz „Brata Rogera, założyciela Taizé” Kathryn Spink.

Ona była tym domem

Na pytanie, czy istnieją udane małżeństwa, odpowiadam, że istnieją, i myślę o Annie i Jerzym. „Będą dwoje w jednym ciele”. Byli „jednym” i każde było inne. Życie Jerzego Turowicza było jej życiem, co nie znaczy, że nie była sobą.

Byli różni, do siebie niepodobni i nierozzerwalnie dopełniali się we wszystkich sprawach: małych, prywatnych, codziennych i wielkich, publicznych. Publicznie i uroczyście występował Jerzy. Pani Anna nigdy na przykład się nie wtrącała w sprawy „Tygodnika”. Na łamach ukazał się bodaj tylko jeden jej tekst. Wiele razy przekłady z języka francuskiego było podpisywane A.T. lub Anna Turowiczowa, ale nie to było najważniejsze. Najważniejsze, że była.

Moje wspomnienia obejmują zaledwie trzydzieści kilka lat. W 1964 r. przyszedłem do „Tygodnika”, nie miałem mieszkania. Turowiczowie przyjęli mnie do siebie, na Lenartowicza, i przenieśli tam osiem lat, do 1972 r. Wspomnienia z tamtych czasów: pani Anna pracuje nad przekładem kolejnej książki. Stosy zapisanych ołówkiem arkuszy. Pismo równe, czytelne, litery okrągłe, proste, nie pochyłe, jak u wszystkich uczennic Jazłowca, poprawki, ślady częstego wycierania gumą. To były książki trudne, teologiczne. Każde tłumaczenie to dla niej pasjonująca przygoda, konsultacje z autorem. Papieros, kawa. Wystukiwanie tekstu na starej maszynie na czysto. Inny obraz: pani Anna idzie na zakupy, „na plac”, jak mówiła, to jest na Rynek Kleparski. Dwie ciężkie torby w rękach. Albo: pani Anna gotuje. Z niczego potrafiła wyczarowywać prawdziwe smakołyki. Smażyła konfitury (mnóstwo

konfitur!), robiła też wspaniały ser zgliwiały (kto dziś jeszcze wie, co to takiego?) z kminkiem.

Garnki na kuchence bulgoczą, pani Anna (z papierosem) zatopiona w lekturze. Pani Anna prasuje: gra muzyka, bo prasowanie jest okazją do słuchania muzyki. Zresztą muzyka przenikała do mojego pokoju zawsze. Były różne epoki, utkwiał mi w pamięci Brassens, słuchany od rana do wieczora, przez pewien czas Joan Baez. Ostatnio – przypomniane po latach kasyty Jana Krzysztofa Kelusa.

Pani Anna je w kuchni śniadanie. Obszerny, ciepły, granatowy szlafrok, kawa, grzanki, książka. Czytała wszystko, co po polsku i po francusku było do przeczytania w Krakowie. Nie wyłączała kryminałów. Ale i gazety. Mówiła dużo i ciekawie, paląc niemal bez przerwy papierosy. Paliła, zasypując mieszkanie popiołem tak, że córki podarowały jej kiedyś popielniczkę, którą można było powiesić na szyi (Jerzy zresztą też dużo palił. W pewnym momencie postawił sobie granicę, bodaj pięć papierosów na dobę, i tego rygorystycznie przestrzegał, niecierpliwie czekając północy, żeby nowa doba się zaczęła). Pisała listy. Zawsze były długie, kilkustronicowe, z zapisanymi marginesami, zabawne, ciekawe, pełne informacji, potrzebne. Mnóstwo listów. Była jeszcze korespondencja domowa. W łazience na lustrze znajdowałem rano wycięte z pudełek po papierosach kartoniki: informacje o telefonach, o wartych przeczytania artykułach, instrukcje domowe, czasem jakąś myśl, którą chciała się podzielić.

Więc przekłady, lektury, muzyka, poezja, zakupy, gotowanie, zmywanie i w ogóle prowadzenie domu, zdumiewająca wiedza o wszystkim, co się wydarzyło w Krakowie. Zawsze radość na widok gościa. Z bliskimi siadało się w kuchni, piło kawę lub jadło posiłek, jeśli była to pora posiłku. Potem szło się do „środkowego pokoju” albo zostawało w kuchni, jeśli była pora sjęsty Jerzego, żeby mu nie przeszkadzać. Drzemał w sąsiednim pokoju i słychać było gadanie. Telefony. Widząc, że te telefony przeszkadzają jej w pracy nad tłumaczeniem,

kiedyś spytałem, czemu telefonu nie wyłączy? Bo zawsze może to być telefon przyjemny.

Ten dom nie był ani uładzony, ani wysprzątany, rytm życia mógł się wydawać dość szalony, a jednak tam był i ład, i rytm, ale nie ludzie byli podporządkowani porządkowi, tylko rytm i porządek służyły ludziom. Nawet jeśli nie zawsze, to taka była filozofia tego domu.

Pani Anna była pracowita, pracowitość potrafiła połączyć ze wspólną umiejętnością tego, co uważała za lenistwo. Ale lenistwem to nie było, tylko umiejętnością niedoprowadzania się do stresów i napięć. To było doskonałe wycucie własnego rytmu życiowego.

Pani Anna i Rzym. Znała Rzym jak mało kto, i kochała Rzym. Miała w nim swoje ulubione miejsca, wiernie do nich wracała. Lubiła także wracać do romańskich kościółków Normandii, które kiedyś dzięki belgijskiej przyjaciółce zwiedziła. Wracała do nich na zrobionych przez siebie przeżyciach.

Miała wielu przyjaciół w różnych miejscach świata. Korespondowała z nimi. Ale oni ostatnio coraz liczniej umierali. Była wierna w przyjaźni. Kilka miesięcy po śmierci Jerzego (w jej mieszkaniu był remont łazienki) pojechała do Warszawy i kolejno odwiedziła wszystkich starych przyjaciół, właściwie prawie wszystkich, bo jednego starego przyjaciela nie udało się jej odszukać. Traktowała to jako wizytę pożegnalną. Jakby wiedziała, że to jest ostatni moment. Ta wizyta była dla niej bardzo ważnym i radosnym przeżyciem.

Kiedy po śmierci Jerzego opuszczała szpital, pomyślała: teraz już nic mu nie grozi. Z Jerzym obawiali się, że nie podoła jego długiej pielęgnacji, gdyby okazała się konieczna. Tak więc po śmierci męża nie rozpaczała. Z niebywałą energią się zabrała do porządkowania jego i swoich papierów, stając się bezcenną pomocą w pracy nad archiwum Turowicza. Wszystko pamiętała, umiała wyjaśnić mnóstwo szczegółów, bez jej pomocy trudno zrozumieli. Zaczęła nagrywać rozmowy z Tomaszem Fiałkowskim, opowieść o swoim życiu. Taka

jak zawsze, tylko nieco starsza, nieco bardziej zgarbiona, nieco bardziej zmęczona. Gdzieś jednak, pod całą normalnością, działaniem, pracą, nie było już dawnego entuzjazmu wobec życia, świata. Kiedy dzieliłem się tym wrażeniem z tymi, którzy wtedy widywali ją często, zaprzeczali: ależ skąd, ma plany sięgające w dalszą przyszłość. To były plany rozumowe. Od śmierci Jerzego nie ma już w tym serca. Tak myślałem.

Kalwaria pani Anny rozpoczęła się w Wielkim Tygodniu. Kto wtedy mógł przypuszczać, przecież było to tylko proste złamanie nogi. Z radością, tak, z radością przyjęła w szpitalu Sakrament Chorych.

Wciąż z trudem piszę o niej w czasie przeszłym. Trudno sobie wyobrazić, że Anna Turowiczowa nie żyje. Zawsze była silna. To Jerzy chorował, ona nie. Nawet wtedy, kiedy była operowana, mówiło się, że to drobiazg. I te ostatnie dwa miesiące... podłączona do utrzymujących ją przy życiu urządzeń, które jednak uniemożliwiały mówienie, dosłownie przykuta do łóżka. Kiedy u niej byłem, wskazując na niebo, dała mi do zrozumienia, że już dość, że już chciałyby odejść. Odeszła, żeby się spotkać z Panem Bogiem i z oczekującym na nią Jerzym. Według Ewangelii ludzie w niebie już się nie żenią ani nie wychodzą za mąż, lecz nie widzę powodu, dla którego Pan Bóg, który raz ich tak skutecznie połączył, właśnie teraz miałby ich rozdzielać.

Choć od wielu lat nie mieszkałem w domu przy Lenartowicza, to zawsze był to dla mnie mój dom. Miejsce, do którego się wraca, gdzie można przyjść bez uprzedzania telefonem. Pani Anna była tym domem. Tym była dla mnie. Kim była dla „Tygodnika”? Dla „Tygodnika” pani Anna była częścią Jerzego Turowicza. Nie sposób wyobrazić sobie jego bez niej. Dlatego była nam wszystkim tak bliska.

Kiedy umarła, odczuliśmy to tak, jakby jeszcze raz, czy jeszcze bardziej umarł Jerzy Turowicz.

Jerzy **Turowicz**

Jerzy Turowicz (ur. 10 grudnia 1912 w Krakowie – zm. 27 stycznia 1999 w Krakowie) – dziennikarz, publicysta, działacz katolicki, redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego” (1945–1953 i 1956–1999), prezes zarządu Społecznego Instytutu Wydawniczego Znak (1959–1991).

W 1930 r. rozpoczął studia na Wydziale Budowy Maszyn Politechniki Lwowskiej. Ostre zapalenie płuc przebyte wiosną 1934 r. uniemożliwiło mu odbycie kursu pilotażu szybowcowego i wpłynęło na rezygnację ze studiów politechnicznych. Turowicz wrócił do Krakowa, gdzie podjął studia historyczne i filozoficzne na Uniwersytecie Jagiellońskim.

W 1945 r. ukazuje się pierwszy numer „Tygodnika Powszechnego”, katolickiego pisma społeczno-kulturalnego, którego jest współzałożycielem. Będzie jego redaktorem naczelnym przez ponad 50 lat, do 1999 r. (z przymusową trzyletnią przerwą w latach 1953–1956, kiedy to zostanie ono zamknięte – z powodu odmowy publikacji pochwalnego nekrologu Stalina – i przejęte przez współpracujące z władzami komunistycznymi Stowarzyszenie PAX, oraz w stanie wojennym). Turowicz zgromadzi wokół „Tygodnika” najwybitniejsze postaci epoki, m.in. Karola Wojtyłę, Stanisława Lema, Czesława Miłosza, Władysława Bartoszewskiego, Zbigniewa Herberta, ks. Józefa Tischnera czy Leszka Kołakowskiego.

W latach 1962–1965 jest korespondentem z Soboru Watykańskiego II. W 1964 r. podpisuje List 34 w obronie wolności słowa, „Tygodnik” płaci za to obcięciem nakładu. Po Sierpniu '80 pismo włącza się w ruch „Solidarności”. W 1984 r. Turowicz zostaje członkiem Komisji Episkopatu do spraw Dialogu z Judaizmem. Relacje polsko-żydowskie to jeden z najważniejszych tematów jego publicystyki.

Turowicz przemawia podczas inauguracji obrad Okrągłego Stołu oraz uczestniczy w jego pracach. Od 1990 r. jest honorowym prezesem Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich oraz Rady Etyki Mediów. Wiosną 1994 r. rozpoczyna współpracę z „Zeszytami Literackimi”.

Odnaczony m.in. Orderem Orła Białego. Od 2013 r. jest przyznawana nagroda jego imienia.

Zbiory jego publicystyki: „Chrześcijanin w dzisiejszym świecie” (1963), „Kościół nie jest łodzią podwodną” (1990) oraz „Bilet do rajy” (1999). W 2013 r. nakładem wydawnictwa Universitas ukazała się trzutomowa edycja jego „Pism wybranych”.

Dyskretny urok wielkości

To dzięki Jerzemu „Tygodnik” był tym, czym był i – jeśli wolno tak powiedzieć – czym jest. Dokumenty niegdyś ściśle tajne, a dziś w coraz większym stopniu znane, pokazują, jak nieznośna dla władz PRL-u była obecność „Tygodnika”.

A przecież, dzięki mądrej strategii Turowicza, nie mogły go ostatecznie zlikwidować. Więzy ze światową elitą kulturalną nadały perypetiom krakowskiego pisma wymiar wydarzeń międzynarodowych, a książdz prymas Wyszyński i arcybiskupi krakowscy przypominali kiedy było trzeba, że „Tygodnik” należy do, jak się wtedy mówiło, „stanu posiadania Kościoła” – tak więc zadzierając z „Tygodnikiem”, zadzierало się z Kościołem.

Nie znaczy to jednak, że droga, którą wybrał Turowicz dla siebie (i, siłą rzeczy, dla swojego pisma), była łatwa. Niezłomni wrogowie reżimu zarzucali Jerzemu zbyt daleko posunięty kompromis, władze widziały w jego działalności permanentne, trudne do okiełznania zagrożenie. Korzystając z kościelnego „parasola ochronnego”, twardo stojąc na stanowisku, że „Tygodnik” jest pismem katolickim, Turowicz często sprawiał kłopoty hierarchom i „dobrym katolikom”, podejmując sprawy, których lepiej było nie dotykać, jeśli się chciało zachować kościelną „poprawność polityczną”. Publikowaliśmy na naszych łamach jego korespondencję z kardynałami Wyszyńskim i Wojtyłą, będącą dokumentacją tamtych kłopotów. Dzięki Bogu obaj hierarchowie mogli się z Jerzym nie zgadzać, ale wsłuchiwali się w to, co mówi, i nigdy nie stracili doń zaufania. Można rzec, że „Tygodnik” w pewnym sensie sam sobie zawdzięczał szykany, które

przychodziło mu znosić. Turowicz miał jednak genialne wyczucie dopuszczalnych etycznie granic kompromisu, a unikanie kłopotów nigdy nie było dla niego (i dla pisma) wartością naczelną.

Gdy w 1964 r. zacząłem pracę w „Tygodniku”, na Jerzego Turowicza patrzyłem z nieśmiałością i zachwytem. Był już wtedy postacią ważną, znaną, cieszącą się autorytetem. Przyjął mnie niezwykle uprzejmie, powiedział, bym pomyślał, co będę robił. Po kilku dniach wręczył mi maszynopis swojego artykułu, prosząc o uwagi i ewentualne korekty. Byłem przerażony: ja? Korygować Turowicza? Żaden z moich dotychczasowych mistrzów nie prosił mnie nigdy o korekty. Podejrzewałem, że prośba jest rodzajem testu. Może była, a może nie, bo potem Turowicz wiele razy dawał mi, nie tylko mi, swoje teksty do krytycznego czytania. Wtedy, jak pamiętam, przedstawiłem mu – chcąc się wykazać bystrością – jakieś nieśmiałe uwagi. Ku mojemu zdumieniu bez słowa naniósł je do tekstu. To była, w moim odczuciu, ogromna nobilitacja.

Do Krakowa ściągnął mnie, na prośbę „Tygodnika Powszechnego”, biskup Wojtyła. Zaproponował zaszczytną współpracę z duszpasterstwem akademickim przy kościele św. Anny w Krakowie. Zaszczycił był wielki, ale nie było mieszkania. Początkowo zajmowałem pokój przebywającego na wakacjach proboszcza, biskupa Jana Pietraszki, potem spałem w przechodnim pokoju, w mieszkaniu zajmowanym przez księży od św. Anny. Było oczywiste, że parafia mieszkaniem dla mnie się nie zainteresuje. I właśnie wtedy Turowicz zwrócił się do mnie z prośbą o znalezienie studenta poszukującego kwatery. Nieśmiało, jękając się, wyznałem, że sam szukam jakiegoś kąta. Jerzy się ucieszył i zostałem lokatorem Turowiczów. Czułem się i byłem traktowany jak członek rodziny. Obcowanie z tą niezwykłą rodziną okazało się dla mnie, w pewnym sensie, inicjacją, wejściem w sprawy życia Kościoła (tak!) i kultury, okazją do poznania wielu niezwykłych ludzi, przede wszystkim właśnie Turowiczów. Przyjaźń,

głęboka więź z całą rodziną, szczególnie z Jerzym i panią Anną, trwały do ich śmierci.

To, co mnie wtedy przede wszystkim uderzyło, to niezwykła pracowitość Jerzego. Każdego dnia czytał prasę, także zagraniczną, podkreślał, wycinał, wkładał do teczek, notował. Po powrocie z redakcji i zjedzeniu obiadu ucinął sobie drzemkę, a potem do późnych nocnych godzin pracował, pisał (ręcznie) artykuły, czytał, odpisywał na listy itd. Jednocześnie dość intensywnie uczestniczył w życiu towarzyskim, czy raczej kulturalnym, Krakowa i Warszawy: wernisaże, przedstawienia w Piwnicy pod Baranami, dyplomatyczne przyjęcia, zebrania KIK-u w Warszawie i Krakowie często zajmowały znaczną część wieczoru. Po powrocie, z reguły, Jerzy zasiadał do biurka i pracował, nie wiem do której, bo już spałem. Prawda, że nie zrywał się o świcie.

Kiedy mieszkałem u Turowiczów, byłem duszpasterzem akademickim u św. Anny. Tam nie mieliśmy wtedy własnego pomieszczenia i nie bardzo było gdzie się spotykać z młodzieżą. No to zapraszałem do siebie, czyli do Turowiczów. W niedzielę przychodziło tam nawet kilkadziesiąt osób. Wszyscy jakoś się mieścili u mnie, to był duży pokój. Siadali na paczkach z gazetami, które Jerzy konserwował nie wiadomo po co, pani Anna pakowała rocznikami i składała u mnie, z nadzieją, że kiedyś zdoła je wyrzucić na makulaturę. Tak więc studenci siadali na tych paczkach na podłodze, pałta zostawiali w jednym z pokoi Turowiczów, okupowali kuchnię, w której przygotowywali dla wszystkich herbatę i chleb z serem. To z reguły trwało kilka godzin. Nigdy przez te długie lata się nie zdarzyło, żeby moi gospodarze dali mi do zrozumienia, że im to przeszkadza. Zaszywali się dyskretnie w dwóch najdalszych pokojach. Ale... nagle się okazało, że pani Anna już zna tych wszystkich młodych ludzi, że ma wśród nich ulubieńców, że nawet bywa powiernicą niektórych. Kiedy mieszkałem u Turowiczów, dość długo władze

nie chciały mnie zameldować w Krakowie. Wiem, że irytowała ich moja praca duszpasterska i moje kontakty z hipisami. Oni też przychodzili na Lenartowicza.

Czasem Turowiczowie dobrotliwie się spierali np. o wydatki albo o jakieś wspomnienia. „Ależ Anno...” – mówił Jerzy. „Nie tak było, ja opowiem...” – mówiła ona. Świetnie się rozumieli. Lubili być razem. Kiedy jedno z nich podróżowało, niemal codziennie pisali do siebie długie listy.

Lubili poezję. Pamiętam taki wieczór, siedzieliśmy w kuchni. U św. Anny jadłem śniadania i obiady, a na kolację kupowałem sobie chleb, masło, ser i tak, dzieląc to z Turowiczami, siadałem z nimi w kuchni przy stole... Ten stół miał pewną osobliwość, był pochyły. Jak się postawiło szklankę i nie dopilnowało, to ona powolutku zjeżdżała i spadała. Nie wiem dlaczego – taki to był mebel. I przy tym pochyłym stole kiedyś ktoś powiedział jakiś wiersz, potem drugi, wreszcie zaczęliśmy przynosić tomy, czytać swoje ulubione utwory. Prawie do rana. Pamiętam, że gdy Jerzy czytał wiersz „Patos kabotyńna” Gałczyńskiego, tak się śmiał, że trudno mu było dokończyć. Lubił czytać Miłosza. Czasem do trzeciej nad ranem siedzieliśmy z poezją.

Turowiczowie byli ludźmi głęboko wierzącymi. Chodzili na Mszę św. o 13.00 do kościoła św. Anny. Byli krytycznymi słuchaczami kazań, oboje cenili Tischnera.

Jako redaktor naczelny Jerzy był chyba nietypowy, jak zresztą cała redakcja. Pamiętam, jak mnie zaskoczyło pierwsze zebranie redakcyjne, w którym uczestniczyłem. Toczyło się jakby bez ustalonego porządku. Mówiono – miałem wrażenie – o różnych rzeczach, od Sasa do lasa. Ktoś co prawda rysował na tablicy plan numeru, ale potem nagle... wszyscy wstali i się rozeszli. Nie mogłem zrozumieć, jak z tego może potem powstać numer pisma. Turowicz niczego nie narzucał. Na zebraniach raczej milczał. Ale to on tworzył styl. W codziennej pracy redakcyjnej czasem – w ważnych sprawach

– inspirował, wspierał inicjatywy, w kwestiach spornych podejmował decyzje. Konsekwentnie pytał redaktorów, kiedy zadeklarowany zamiar zrealizują. Tylko w niektóre, naprawdę ważne, sprawy osobiście się angażował. Odpisywał na listy i rugał za zaniedbania w tej dziedzinie. Był naczelnym, którego się nie bano, ale do którego zbliżano się z onieśmieleniem. To był *timor reverentialis*.

Kilka wydarzeń. Lata osiemdziesiąte. Mieszkałem w Rzymie i do Krakowa przyjechałem na chwilę. Jerzy, już dość schorowany, zaprosił mnie do siebie do domu. Doskonale pamiętam ten wieczór. Ciemne mieszkanie Turowiczów. Jerzy rozłożył na stole artykuły, książki pootwierane na stronach, gdzie był bezlitośnie opluwany, szkalowany. Przeróżni, zwykle mali, autorzy usiłowali udowodnić, że przez całe życie szkodził Kościołowi, co oznaczało, że wszystko, czemu poświęcił życie, jest nic niewarte.

To było już po jubileuszu pięćdziesięciolecia „Tygodnika”... Z tej okazji papież przesłał do redakcji list, w którym znalazło się słynne zdanie: „Pan daruje, jeżeli powiem, iż oddziaływanie tych wpływów [oskarżenia o klerykalizm, o rzekomą chęć rządzenia Polską ze strony Kościoła] odczuwało się jakoś także w »Tygodniku Powszechnym«. W tym trudnym momencie Kościół w »Tygodniku« nie znalazł, niestety, takiego wsparcia i obrony, jakiego miał poniekać prawo oczekiwać; »nie czuł się dość miłowany« – jak kiedyś powiedziałem”.

Turowicz odpisał papieżowi (korespondencję między Karolem Wojtyłą – arcybiskupem, kardynałem, papieżem zamieściliśmy w „Tygodniku Powszechnym” nr 14/2006), zapewniając m.in., że Kościół w Polsce „może się nie czuł dość miłowany, co jednak nie znaczy, że miłowany nie był”. Tymczasem zdanie z papieskiego listu skwapliwie podchwycili, z jakąś straszliwą agresywnością, ludzie „Tygodnikowi” niechętni. W wielu przypadkach była to agresja ludzi, którzy w epoce PRL-u publicznie nie istnieli.

To prawda, „Tygodnik” podjął trudną drogę wędrowania krawędziami kompromisów. Chodziło o to, żeby zachować jakąś przestrzeń wolności i żeby przekazywać społeczeństwu ważne treści. „Tygodnik”, jak zresztą całe środowisko, był wspierany przez Episkopat, ale jego sytuacja była trudna. Nie był pismem podziemnym, musiał się z różnymi restrykcjami godzić. Wyważano więc starannie granice dopuszczalnego kompromisu. Dziś można to interpretować rozmaicie, ale „Tygodnik” istniał i odgrywał ważną rolę. Mówiło się, że to jedyne pismo od Łaby do Władystoku, które reprezentuje przestrzeń wolności. Publikowali w nim ludzie prawi, przyzwoici – niekoniecznie katolicy – którym albo władze nie pozwalały drukować gdzie indziej, albo sami gdzie indziej nie chcieli, jak Antoni Słonimski, który z początkiem lat 70. uznał, że to jest jedyne pismo, w którym przyzwoitość pozwala mu drukować.

Na Turowicza zwała się lawina błota. I wszyscy się powoływali na list papieża. Wróciłem do Rzymu pod wrażeniem spotkania z Jerzym, opisałem całą tę historię i wysłałem Dziwiszowi. Po paru dniach zostałem zaproszony na kolację do papieża. Przy stole byliśmy tylko Ojciec Święty i ja. Żadnego kapelana. Mój list leżał przy nakryciu papieża. Jan Paweł II powiedział: „To się stało wbrew moim intencjom, wbrew moim myślom, jak ja mogę to naprawić? Próbowałem pisać do Turowicza, ale co mam napisać? Pisałem i wyrzuciłem”. I pytanie: „Co mi ksiądz radzi zrobić?”. No to radzę: „Gdy Ojciec Święty przyjedzie do Polski, niech się spotka z redakcją »Tygodnika«, nie tylko z samym Turowiczem. Spotkanie może trwać trzy minuty. Chodzi o sam gest, o sam fakt”. I – mogę to powiedzieć z ręką na sercu – papieżowi ten pomysł się spodobał. Powiedział wyraźnie: „To jest bardzo dobry pomysł”.

Ale na drugi dzień zadzwonił do mnie ks. Dziwisz: „Zwariowałaś? Spotkanie z redakcją? Mowy nie ma. Jeśli, to z samym Turowiczem”. Tak też się stało. Papież zaprosił Jerzego na spotkanie w rezydencji

arcybiskupiej. A Turowicz wtedy, już ciężko chory, leżał w szpitalu. Na Franciszkańską przywiozła go karetka. Papież tymczasem, co nie było wcześniej przewidziane, objeżdżał krakowski Rynek Główny. Turowicz, na wózku inwalidzkim, czekał. Kiedy papież wrócił, porozmawiali, lecz zmęczenie i napięcie fatalnie się odbiło na stanie Jerzego. Po powrocie do szpitala był bliski śmierci. Pani Anna zadzwoniła po mnie, że on umiera. Przyjechałem. Leżał z maską tlenową, miał zamknięte oczy, rzeził. Udzieliłem mu rozgrzeszenia w godzinie śmierci, a on otworzył oczy, zdjął maskę i podyktował mi komunikat o spotkaniu do „Tygodnika”. Nie miałem na czym tego, co z trudem mówił, zapisać. Przyszedłem bez papieru, z olejami świętymi. Ale dokładnie zapamiętałem każde słowo. Wróciłem do domu, spisałem i zaniósłem do redakcji. Na drugi dzień Jerzy czuł się lepiej... Już po moim wyjściu, dygoczącą ze słabości ręką sam napisał ten komunikat. Mam do dziś tę notatkę. Ona pokazuje, jak ten człowiek żył „Tygodnikiem”. Już – wydawało się – umierał, już odchodził z tego świata, ale musiał napisać, że papież pobłogosławił „TP” . I to się ukazało w druku.

Inne wspomnienie. Było to w Paryżu. U pallotynów na rue Surcouf odbywało się wieczorem spotkanie z Herbertem. Potem wybranych gości zaproszono na część bardziej towarzyską na górę. Wszystko trwało długo. A ja miałem jeszcze zaproszenie na spotkanie z szamanami od voodoo. Mówię więc Turowiczowi, że zaproszenie jest na dwie osoby, może chce. I Jerzy – a już było koło północy – że natychmiast, że świetnie, że oczywiście! Więc do metra i na voodoo. Uczestnicy – raczej turyści różnej narodowości – siedzieli w kręgu. Przejmująca, rytmiczna muzyka na bębnach, czarni tancerze i tancerki. Seans trwa, jedna z siedzących kobiet, Amerykanka, wpada w trans pod wpływem muzyki, traci przytomność, pada. Mistrzyni ceremonii szybko ją cuci, obficie skrapiając wodą. Potem do tańca zapraszają chętnych z kręgu widzów. Turowicz – zachwycony – się

zrywa, tańczy. Na mokrej od cucenia Amerykanki podłódze się poślizguje i przewraca. Szybko wstaje i tańczy dalej. Był wciąż ciekawy świata. A że nigdy dotąd nie był na seansie voodoo, chciał zobaczyć, jak to wygląda. Wtedy już nie był pierwszej młodości.

Podobnie z kinem. W Rzymie mówi mi: „Słuchaj, grają »Miasto kobiet« Felliniego, ja tego w Polsce nie zobaczę, idziemy? Musimy zobaczyć”. I był szczęśliwy, że zobaczył.

Także w Rzymie, po jakiejś oficjalnej uroczystości, przedstawiciel B'nai B'rith Józef Lichten zaprosił nas na kawę i rozmowę. Wymawiałem się, że jeszcze tego dnia muszę napisać i wysłać do „Tygodnika” korespondencję. Jerzy wtedy powiedział bardzo poważnie: pamiętaj, jeśli masz okazję wyjątkowego spotkania i ciekawej rozmowy, nigdy jej nie marnuj. A napiszesz później. I on rzeczywiście sam tak postępował.

Na czym polegała niekwestionowana wielkość Jerzego Turowicza? Czym zdobył sobie pozycję moralnego autorytetu, ważnego dla milionów Polaków, zresztą nie tylko Polaków? Jak dokonał tego, że tytuł pisma, które przez ponad pół wieku redagował, zachował – mimo pokoleniowej wymiany niemal całej ekipy – ciężar gatunkowy?

Szukając odpowiedzi na te pytania, sięgam do słów drukowanych na łamach „Tygodnika” zaraz po jego śmierci. Mówią świadkowie jego życia i dzieła, bliscy i dalecy. Wszystkich chyba nurtują te same pytania, wszyscy usiłują uchwycić sekret wielkości Jerzego, źródła jego siły i skuteczności jego oddziaływania.

Pisał Jerzy Giedroyc, świadek często bardzo krytyczny wobec „Tygodnika”: „Tylko dzięki Niemu (Turowiczowi) zaczęła się ewolucja polskiego Kościoła w kierunku wytycznych II Soboru. »Tygodnik« był jedynym ciągłym ośrodkiem niepodległościowym – prowadził walkę z przerostami nacjonalizmu, z antysemityzmem. Walcząc o prawa człowieka, stał się szkołą tolerancji. Całą tę akcję Turowicz prowadził pragmatycznie, dyskretnie, z dużym kunsztem dyplomacji,

aby uchronić swój warsztat pracy, ale nie unikał w kryzysowych momentach twardych decyzji, które mogły spowodować zamknięcie pisma, jak to miało miejsce w dniu, kiedy odmówił uczczenia na łamach śmierci Stalina”.

Kard. Jean-Marie Lustiger, arcybiskup Paryża i przyjaciel, widzi to samo, ale nie skupia się na strategii, docieka źródeł: „Jerzy Turowicz, w jednym z najtragiczniejszych okresów Historii, wiernie i odważnie dawał świadectwo Prawdzie. Nieustannie, z siłą Ewangelii, budził sumienia; z cierpliwym miłosierdziem skupiał, bez względu na istniejące między nimi różnice, wszystkich tych, którzy chcieli bronić wolności i godności Człowieka. Będąc świeckim chrześcijaninem, był w oczach wszystkich znakiem Kościoła Chrystusowego i nadziei, którą Ten głosił”.

Prof. Andrzej Szczeklik: „Mówił nam, że niebezpieczną rzeczą jest szukać wrogów i dopatrywać się spisku, bo to zwalnia od odpowiedzialności. Pokazywał, iż często nie jest wskazana zawzięta walka, ale zrozumienie przyczyn, a nieraz nawet rozsądny kompromis, który umie doprowadzić do zmiany sytuacji. Był w tym podobny do Josifa Brodskiego, który nade wszystko przestrzegał przed wskazującym palcem, wytykającym winy innym. Sam Jerzy Turowicz w latach najważniejszej próby był dla nas wzorem odwagi. Jednym z tych, którym Polska zawdzięcza odzyskanie niepodległości”.

O wielkości i mądrości Jerzego Turowicza mówią Wisława Szymborska i ks. Józef Tischner. Ich wypowiedzi, jak zresztą właściwie wszystkie, wzajemnie się dopełniają: „Jego mądrość nie lubiła wielkich słów, bo prawdziwej mądrości nie są one potrzebne. To dobre dla krzykaczy, którzy używają ich jak szcudeł, żeby dodać sobie wzrostu i znaczenia. Jerzy Turowicz niczego nie musiał udawać, niczego sobie dodawać, do niczego pretendować. Bez szcudeł – pieczo wchodził na karty polskiej historii jako jeden z najświetlejszych synów naszej ziemi” (Wisława Szymborska). Zarazem miał w sobie

jakiś przedziwny „zmysł nieomyślności”. „Może czasem Turowicz nie miał racji, ale przeważnie to ją jednak miał. Doprawdy, nie umiem dziś wskazać przypadku, by Turowicz nie miał racji... A przecież każda z kluczowych decyzji uwikłana była w sieć tysięcy zależności” (ks. Józef Tischner).

Współpracownik „TP” Tadeusz Chrzanowski: „Chwała Ci, Jerzy, za to, że tak wspaniale dopełniłeś swego obowiązku wobec Polaków, choć wiele wycierpiałeś nie od komunistów, ale właśnie od oszołomów i nawiedźców, których tu nad Wisłą nigdy nie brakowało”.

Tischner nie umie wskazać przypadku, by Turowicz nie miał racji, tymczasem sam Turowicz bynajmniej nie rościł sobie prawa do nieomyślności. W zwięzłym tekście zamieszczonym w „Więzi” („Rachunek sumienia Kościoła w Polsce”, nr 3/1996) rozlicza się z błędów i zaniedbań swojego środowiska, a właściwie własnych: ze zbyt jednostronnego zaangażowania politycznego po 1989 r., co przyczyniło się do pogłębienia podziałów w społeczeństwie, z niedostatku dialogu z katolikami o diametralnie różnej orientacji, z przemawiania z góry, z pozycji „katolicyzmu otwartego” bez zrozumienia dla katolików inaczej myślących, niekiedy z braku solidarności z Kościołem hierarchicznym i krytykowania go, czasem bez zastanowienia, czy ta krytyka Kościołowi pomaga, czy jego działalności szkodzi, i wreszcie – w sferze kultury – ze zbyt słabej obrony wartości chrześcijańskich.

Kim był Jerzy Turowicz? Abp Józef Życiński, nawiązując do rozmowy Chrystusa z Samarytanką w Sychar i do poezji Herberta, napisał: „O ileż uboższe byłoby świadectwo wiary kształtujące obraz Kościoła w Polsce, gdyby brakło w nim duchowego realizmu i mądrości serca pana Jerzego. Na tle wielkich polskich dramatów i małych polskich sporów jawi się on niczym Pan Cogito rozmyślający »nad estetyką hałasu«. Pan Cogito z krakowskiego Sychar potrafił skutecznie wnosić światło Ewangelii w mroki naszych poszukiwań

i lęków. Potrafił konsekwentnie troszczyć się o to, by woda ze źródła Jakuba mogła koić pragnienie wszystkich spragnionych. Świadomi duchowej odpowiedzialności za to dziedzictwo, winniśmy dziś wspólnie dzielić troskę o przyszłość tego źródła. Aby w epoce wyjątkowo głębokich przemian ktoś nie wpadł przypadkowo na pomysł, żeby urynkować źródło w Sychar i źródlaną »wodę życia« rozprowadzać wyłącznie w plastikowych pojemnikach z krzykliwą etykietką”.

Dziś można dodać do tego tylko to jedno zdanie: kiepski będzie nasz los, jeśli zapomnimy o przesłaniu Jerzego Turowicza.

Te wspomnienia, fragmentaryczne i niepełne, oparłem na tym, co przed kilku laty opowiadałem o Jerzym Turowiczu w Szczecinie i co potem się znalazło w wydanej pod redakcją Joanny i Andrzeja Sulikowskich zbiorze wykładów i wspomnień: „Stulecie urodzin Jerzego Turowicza” (Szczecin 2013). Ale kto chce naprawdę poznać Turowicza, niech sięgnie po jego „Pisma wybrane” t. 1-3, przygotowane przez Annę Mateję (wyd. Universitas 2013).

Copyright © by Wydawnictwo WAM, 2015
Copyright © by Tygodnik Powszechny, 2015

Opieka redakcyjna: Olaf Pietek
Redakcja: Joanna Podsadecka
Korekta: Dariusz Godoś
Projekt okładki i opracowanie graficzne:
Katarzyna Ewa Legendź
Fotografia na okładce: Michał Łepecki
Agencja Gazeta

NIHIL OBSTAT
Prowincja Polski Południowej
Towarzystwa Jezusowego
ks. Jakub Kołacz SJ, prowincjał
Kraków, 30 września 2015 r., l.dz. 321/2015

ISBN 978-83-277-1068-0

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl
www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
tel. 12 62 93 260, 12 62 93 446-447
faks 12 62 93 261
e.wydawnictwowam.pl

Druk i oprawa: GRAFARTI • Łódź